

Święty cud pobożnego kłamstwa

– cz. 2

5 marca 2008

Francuzi z miejscowości Villeneuve-des-Dombes od XVIII w. czczą „świętego”, imieniem Guinefort. Ów wielce czcigodny „święty” był za życia... wyżłem!

Pocziwe psisko czymś naraziło się swojemu panu, a ten w złości ukatrupił go nożem. A ponieważ niebawem miejscowy zamek uległ zburzeniu, okoliczni mieszkańcy bezbłędnie widzieli w tym palec boży. Na skutek różnych opowieści, powstała miejscowa tradycja, której następstwem było, iż nieszczęsny Guinefort, dostąpił wyjątkowej czci. Do miejsca, gdzie go zakopano, matki zносиły chore niemowlęta, a cudowne uzdrowienia, były tu na porządku dziennym.

Zakonnik Stefan Bourbon rozkazał wykopać ścierwo psa i spalić, ale to bynajmniej nie zniechęciło wiernych. Do tej pory męczennik św. Guinefort jest czczony w Villeneuve jako patron tamtejszej parafii i dalej uzdrawia dzieci.

Jego kult rozszerzył się nawet po całej Bretanii, a w Lomballe ma specjalne palladium. Gdy nie ma już żadnej nadziei na wyzdrowienie, przybywający do świętego miejsca pielgrzymi, zwracają się do niego słowami: „- Święty Guinefortcie – życie albo śmierć!” – robiąc tu wyraźną aluzję do jego śmierci.

Oczywiście, św. Guinefort jest jednym z owoców tradycji, wynikiem wierzeń miejscowej ludności, a nierzadko fantazji, przy czym jej geneza nie zawsze jest znana. W końcu Kościół ulega miejscowym zwyczajom, sankcjonując je stosownymi dekretami.

Katolicka menażeria może więc poszczycić się, że w panteonie świętych ma swojego delegata.

Wracając do psa jako takiego. Rzymskiego kleru nie chroni definicja „obrazy uczuć religijnych”, gdyż w tradycji katolickiej, przyrównywany jest do... psów!

Dość będzie wspomnieć tu psa dominikanów. Zatem określenie duchownego mianem „pies”, nie może pociągać za sobą odpowiedzialności karnej. Św. Grzegorz powiada tak: „- Niekiedy Pismo święte pod nazwą psów zwykło rozumieć kaznodziejów. Język bowiem psów uzdrawia rany, gdy je liżą. Tak też i święci nauczyciele pouczając nas przy wyznawaniu grzechów, jakby leczą ranę ducha językiem jej dotykając.”

Z kolei św. Ambroży uczy, że każdy chrześcijanin, a zwłaszcza przełożony, powinien być „psem boga”, co akurat katolików stawia w nienajlepszym świetle, bowiem oddaje ich napastliwy charakter.

Gdzie indziej mówi on: „- A co powiem o psach, w których naturze leży okazywanie wdzięczności i pilnej czujności dla dobra swych panów? Stąd do tych, którzy zapominają o doznanych dobrodziejstwach i są leniwi i gnuśni, Pismo woła: «Psy nieme, szczekać nie mogące». A więc są psy, które potrafią szczekać w obronie swych panów, umieją bronić swe domostwa. A więc i ty naucz się podnosić głos w obronie Chrystusa, gdy na owczarnię Chrystusową napadają groźne wilki. Naucz się mieć słowa na twych ustach, aby się nie zdawało, żeś jak pies niemy sprzeniewierzył się milczeniem powierzonej ci straży wiary.”

Dlatego katolicy muszą szczekać zajadle na „innych”, gdyż w przeciwnym razie byłiby jak „pies niemy sprzeniewierzający się milczeniem powierzonej mu straży wiary”.

Mimo, że pogańska zoolatria jest wyśmiewana przez Kościół, to botanika i zoologia katolickie nie są wcale tak ubogie, w związku z czym, „uczucia religijne” katolików można obrazić krytyką pawia, gołębia, barana, osła, ryby, pelikana, woła, kruka, lwa, jakimś „zwierzęciem z twarzą człowieka”, które otrzymał jako atrybut Marek ewangelista, a które podobało się

Kościółowi nazwać „aniołem”, czy starotestamentowym dwugłowym orłem, którego przypisano prorokowi Elizeuszowi, co ma znaczyć, „że wyprosił sobie dwojakiego ducha bożego”, (godło carskiej Rosji), i dziesiątkami innych.

Wiele tych symboli ma odniesienie także do Chrystusa, który jednak w malarstwie nigdzie z tą całą świętą menażerią nie występuje. Jeżeli wspomnę tu jeszcze koguta i feniksa, które jawią się jako rzymski wynalazek, to mógłbym właściwie przejść do botaniki katolickiej. Ale to przy innej okazji.

W tym całym zoo, rzymskie chrześcijaństwo posiada „zamorskiego” ptaka, pelikana, który jest najlepszy w tej ich symbolice.

Ksiądz Nowowiejski, profesor seminarium płockiego, tak tłumaczy obecność pelikana w Kościele. „— Ptak to żarłoczny, połyka od razu po kilka funtów ryb.(...) ... pelikany mają pod brodą wielki worek skórzany, który napełniają rybami jeżeli ich zjeść nie mogą, aby je zanieść swym pisklętom. Gdy zaś przy wybieraniu ryb z worka przez dzieci krew z tych ryb spada na piersi starym, stąd powstała u starych naturalistów bajka, że pelikany własną krwią żywią swe pisklęta i dlatego szarpią sobie piersi dziobem. (...) Pelikan jest również symbolem Chrystusa Pana, żywiącego swe dzieci własnym ciałem – Eucharystią. (...) Dlatego ten symbol, umieszczano na drzwiczkach cyborium, a w XIII i XIV wiekach stawiano go na szczycie krzyża, pod którym Kościół stojąc, przyjmuje Krew Przenajdroższą do kielicha, jaki trzyma pod ranami Zbawiciela.”[1]

Do tego bukietu katolickiej kontradykcji dodam, że w księgach Starego Testamentu, pelikan jest przedstawiany jako „nieczysty”, podobnie jak orzeł.

Ksiądz prałat Nowowiejski cokolwiek zagalopował się w przyrodniczej erudycji i fatalnie powiązał fałszywe zalety pelikana z „prawdziwymi” cnotami Chrystusa, bowiem w tym

zestawieniu, widzę Kościół, który jak ten „ptak żarłoczny” najadłszy się do syta, z powodzeniem udaje, że „własną krwią żywi swe pisklęta”. Bez wątpienia to ptaszysko nadawałoby się na godło Watykanu!

Jak katoliccy święci pańscy balują na niebieskich salonach, pokazali w Polsce jezuici. Pobożni ojczulkowie z premedytacją wykorzystali katolicki system wychowawczy, który od kołyski ogłupia ludzi, aby na starość doprowadzić do ich skretynienia.

Hugo Kołłątaj (1750-1812) opisał, jak ojcowie SJ uszczęśliwili dwie stare i głupie dewotki, ale za to majątne, Firlejową i Szembekową, stwarzając im na ziemi obraz nieba oraz preferowany w nim styl wesołego życia. Rzeczą działa się pod koniec panowania Augusta III (1750-1764).

„- Nie można wszystkich wyliczać awantur, jakie się przytrafiły między jezuitami i ich dewotkami; obfitość tej materii, wyciągałaby wcale osobnego dzieła. Dla poparcia jednak tego, co się w tym miejscu o jezuitach powiedziało, przytoczymy dwa sławniejsze przykłady: jeden Anny z Tenczyńskich, Firlejowej, wojewodziny sandomierskiej; drugi Katarzyny z Opalińskich, Szembekowej, kanclerzyny koronnej.

Firlejowa była panią całego hrabstwa tenczyńskiego, mieszkała w Tęczynie w zamku, o 3 mile od Krakowa odległym, w którym znajdowała się kaplica publiczna, obszerne pańskie mieszkanie, zamknięte fortem według zwyczaju owego wieku.

Jezuici opanowali tę słabą duszę; Firlejowa najpierw oddała im swoje sumienie, a potem swoje majątności i dochody, odosobniona od całej społeczności, żyła tylko ze swoim ojcem duchownym, z jezuitami, lub innymi osobami, które on chciał przypuścić; był już od tego wyznaczony jezuita, który pilnował zwodu przy zamku tęczyńskim: nikomu tam nie wolno było przystąpić, póki nie zdał sprawy dozorczy; wszystkie rzeczy i interesa doczesne załatwiał innych jezuita, który był komisarzem w dobrach; Firlejowa rozmyślała tylko o rzeczach

niebieskich, dziękując jezuitom, że przyjęli na siebie ciężar, zatrudniać się marnościami tego świata; ojciec duchowny utrzymywał ją zawsze w tej nadziei, że prowadząc podobne życie, przyjdzie na koniec do tak szczęśliwego stanu, iż będzie miała wizye niebieskie i obcowanie ze świętymi; jakoż w samej rzeczy przyszło do tego, że Firlejowa rozumiała obcować z św. Alojzym i z św. Stanisławem Kostką: byli to nowicjusze od św. Macieja, których czasami posyłano do Tęczyna, aby się w mistyczny sposób pobożnej objawili dewotce. Wizye te bardzo się podobały Firlejowej, święci do takiej przyszli poufałości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu; nieraz się dała słyszeć niebieska muzyka, nieraz pobożna Firlejowa tańczyła ze św. Alojzym, lub św. Stanisławem Kostką.

Ojciec duchowny dla tego punktu utwierdził ją w tej sprawie, iż pewną była, że te wszystkie niebieskie słodycze, były nagrodą jej nabożeństw i oddalenie się od świata. Kiedy przez przeciąg lat wielu jezuitów korzystali z dochodów Firlejowej, a dewotka z wizyi niebieskich, zazdrość szukała sposobów, jakby pomieszać tak przyjemne życie, które było owocem jałmużn, postów i abgenacji świata. Mimo najbaczniejszy jezuitów dozór, rozchodziły się przecież wieści o życiu Firlejowej, żywo pogrzebanej w zamku tenczyńskim; daremnie szemrała familia, daremnie narzekali dawni słudzy, nikt nie mógł przeszkodzić kredytowi Jezuitów: Firlejowa nikogo więcej nie widziała, z nikim się nie wdawała; było to życie niebieskie, na którym się świat ten nie umie poznać. Jeden przecież laik od Karmelitów bosych, podjął się oswobodzić Firlejową, mimo jej zezwolenia.

Był to sławny kwestarz, umiejący doskonale sztukę pochlebstwa, za pomocą którego, potrafił przejść za most tenczyński, pod pozorem jałmużny, czynił wszystkie attenacye jezuitcie, który zawiadywał dobrami, a który właśnie miał swój apartament przy samej bramie zamku tenczyńskiego. Kilka razy opatrzoną jałmużną, starał się trafić nareszcie pod taką porę, że mu dozwolono zanocować u margrabiego. Dowcipny laik nie mieszając się w rzędy jezuitckie, starał się jednak nabyć wiadomości od

ludzi służących, jaki ich pani prowadzi życia sposób; nie oszczędzali słudzy wszystkiego, co się działo. Po opowiedzeniu wszystkich pobożnych historyi, następowało opisać, jakie sobie jezuici z niej czynią igrzyska: szły historie o wizjach i nowicyuszach, o wieczornych biesiadach, czemu wszystkiemu słudzy ulegać musieli, aby nie stracić zyskowego na dworze miejsca. Doniósł o tym wszystkim rodzinie i zwierzchności duchownej przebiegły laik, i pierwszy raz dowiedziano się w Krakowie o scenach, które jezuici wyrabiali na Tenczynie.

Nie można się było wziąć do żadnych gwałtownych środków, chodziło bowiem rodzinie o to, aby bogatej nie rozgniewać dziedziczki, która mogła cały majątek alienować. Laik podjął się przez błazeństwo i trefnictwo jezuitów z Tenczyna wykurzyć. Wiedział on, którego dnia odprawiać się zwykła niebieska na Tenczynie biesiada, kazał sobie zrobić dwa wielkie klucze i one pozłocić, przygotował sobie domino, któreby go w stroju oddało podobnym św. Piotrowi, wziął z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo, żeby potem jezuici nie zaparli się wszystkiego, co się stało. Zjechał wedle swego zwyczaju wieczorem, i udał się prosto do ks. komisarza, prosząc o jałmużnę i przenocowanie. Naznaczono mu stancje u margrabiego.

Laik napił się dobrego wina, dla nabrania śmiałości i dobrego humoru, i spokojnie czekał, aż po długich modlitwach Firlejowej, zstąpili na ziemię niebiescy goście i zaczęła się w zamku duchowna biesiada, wtenczas przeprowadzony od murgrabiego, przypatrywał się z poblizszego pokoju wszystkim zabawom. Trwała w późną noc wspaniała kolacya, ku północy dały się słyszeć śpiewania i niebieska muzyka, zaczęły się tańce: Firlejowa poszła w pierwszą parę ze św. Stanisławem Kostką dalej ojcowie duchowni z pannami J.W. pani, i kiedy cała kompania w najlepszym znajdowała się humorze, dało się słyszeć brzęczenie i stukanie drzwiami, w odleglejszych pokojach, jakiego nigdy do owego czasu nie słyszano; zbliżał się coraz bardziej głos i stukanie, które swą nadzwyczajnością

przysposobiły do bojaźni całą kompanię; nareszcie ukazał się Piotr, jak go zazwyczaj malują: łysy, w niebieskiej sukni, z wielkimi kluczami.

Murgrabia i inni słudzy, którzy do sekretu należeli, chcąc powiększyć bojaźń, padli na ziemię. Firlejowa zmieszała się na widok świętego, który dopadłszy mniemanego św. Stanisława Kostkę, okładał go bez litości kluczami, narzekając, że dla jego zabawy, nie może nieba tak długo trzymać otworem, aż nareszcie biedny nowicyusz zaczął płakać, wtenczas Karmelita oświadczył mu, że go dopóty bić będzie, póki się nie przyzna przed tą pobożną duszą, którą tak zwodził, kto jest w rzeczy samej. Nie trzeba było długo nad nowicyuszem pracować; wyznał swoje przezwisko, powiedział, jak się zowią, zgoła, odkrył całą scenę z zawstydzeniem wszystkich przytomnych jezuitów, którzy przez tyle lat, robili sobie igrzysko z pobożnej, lecz słabej duszy.

Wtenczas laik karmelita rzekł do nowicyusza jezuickiego: kiedy ty przestałeś być św. Stanisławem Kostką, i ja przestaję być Piotrem, i opowiem wszystko J.W. pani, kto jestem, i dla czego osobę św. Piotra na siebie przybrałem. Jestem laik karmelicki, dostałem się do tego zamku za kwestyą; narzekania służących nauczyły mnie, co za dziwactwa jezuici z J.W. panią robią; widziałem, że nie tylko nadużywają dobroci pańskiej, ale nawet czynią zgorszenie fałszywymi cudami. Już się to za zamek daleko rozeszło, że nowicyusze jezuicki udają śś. Pańskich i zwodzą J.W. panią, z czego się cały świat naśmiewa; teraz odchodzę i zostawuję woli J.W. pani czynić, co się podoba: mnie nie można nic złego zrobić, boi mam z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo.

Słuchała z cierpliwością całej tej mowy Firlejowa, spoglądając na zawstydzonych jezuitów, a obrażona tak długim swej osoby igrzyskiem, tej samej nocy wszystkich jezuitów do Krakowa odesłała; laika karmelickiego osadzono w apartamencie ks. komisarza, sprowadzono parę Karmelitów, którzy zastąpili miejsce 00. Duchownych. Firlejowa jednak z swego zamku więcej

nie wyjeżdżała, z swemi krewnymi widzieć się nie chciała, przepędziła resztę życia z Karmelitami, wystawiła dla nich wspaniały klasztor w lesie na Czernii, opatrzyła bogatym funduszem, i w tym nowym kościele kazała się pogrzebać. Jest to bardzo przyjemne miejsce, nie daleko od Krzeszowic, gdzie dwie wysokie góry, złączone murowanym mostem na arkadach o trzech kondygnacjach.

Szembekowa, kanclerzyna koronna, mieszkała w Babicach, o dwie mile od Warszawy, sławna jezuitów dewotka, którą pierwszy jej ojciec duchowny, wciągnął do zrobienia votum peregrynacyi do ziemi świętej; prowincyał jezuicki pomiarkowawszy, że takowa peregrynacya, osobliwie tak poważnej damy, ciągnęłaby za sobą niezmiernie wielkie koszta; wyrobił w Rzymie przemianę votum, na peregrynację w takie miejsce, jakieby jej ojciec duchowny przepisał, a oraz na rozdanie tyle pieniędzy na jałmużny, ile by ta podróż kosztować mogła.

Łatwo się każdy domyśli, że jałmużny poszły do rąk jezuitów, wyrachowano wszystkie kroki z Babic, aż do Jeruzalem, rozdzielono je na dni, wypadło, iż Szembekowa powinna była peregrynować lat 5. Oddała więc Szembekowa dobra jezuitom na przeciąg lat rzeczonych, dodano jej do tej podróży 4-ch 00. Duchownych, sprawiono pielgrzymские suknie, porobiono ścieżki w olszynie babickiej, gdzie Szembekowa codziennie peregrynowała, odbywając przypisane nabożeństwa i biorąc codziennie błogosławieństwo na drogę. Czemż Szembekowa wojażować nie miała do Grecji i Syryi w Babicach, za pomocą perswazyi jezuitów, kiedy Firlejowa w Tenczynie miewała nawet wizye niebieskie, jakeśmy dopiero widzieli?" (Zachowałem pisownię oryginału)

Tego to i buk-moher z „Radia Maryja” nie dałby rady zorganizować! Chociaż, kto wie?! Swoją drogą, aż wstyd myśleć, jak „święty” Jan Paweł II będzie się czuł w takim towarzystwie...?!

Autor: Bogdan Motyl

Źródło: [Alternatywa](#)

PRZYPIS:

1. Przy takim rozumieniu tej alegorii, do karmienia z pewnością niezbędnych jest kilka banków krwi lub nieustanne transfuzje. Serce człowieka przez 70 lat pompuje ćwierć miliarda litrów krwi przy ok. 3 miliardów uderzeń serca. Jeżeli miliardy ludzi ustawicznie ssie krew Zbawiciela od 2000 lat, to ilość jej jest wprost niewyobrażalna! Chociaż to tylko alegoria, ale z pewnością rozbudziłaby pożądanie hospodara wołoskiego Vlada IV (1430-1477) bardziej znanego jako Dracula.